

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Honore de Balzac

Ojciec Goriot

Tłumaczył Tadeusz Żeleński-Boy

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

*Wielkiemu i znakomitemu Geoffroy de Saint
Hillaire¹ w dowód podziwu dla jego prac i
geniuszu.*

De Balzac

¹ Geoffroy de Saint Hillaire, wybitny przyrodnik francuski.

Pani Vauquer, z domu Conflans, jest to starsza dama, która od czterdziestu lat prowadzi w Paryżu gospodę przy ulicy Neuve-Sainte-Geneviève, między Dzielnicą Łacińską a przedmieściem Saint-Marcel. Dom ten znany jest pod mianem pensjonatu Vauquer; mimo iż przyjmuje zarówno mężczyzn, jak kobiety, młodych ludzi, jak starców, nigdy obmowa nie dotknęła obyczajów tego czcigodnego zakładu. Ale też od trzydziestu lat nikt nie widział tu młodej kobiety; aby zaś młody człowiek tam zamieszkał, musi go snadź rodzina trzymać na bardzo chudej pensyjce. W 1819 r. wszakże, epoce, w której rozpoczyna się ten dramat, zamieszkiwała tam jedna młoda panienka. Mimo iż słowo „dramat” mocno straciło na wyrazistości wskutek naciąganego i niewłaściwego użytku, jaki zeń czyni nasza cierpliwa literatura, konieczne jest użyć go tutaj, nie iżby ta historia była dramatyczna w ścisłym znaczeniu słowa, ale skoro dobiegnie do końca, może czytelnik uroni parę łez *intra* i *extra muros*². Czy zrozumie ją kto poza Paryżem? Można wątpić. Szczegóły tej sceny, pełnej obserwacji i kolorytu lokalnego, da się ocenić jedynie między wzgórzami Montmartre a wyżem Montrouge, w tej znamienitej dolinie wciąż osypującego się tynku i ścieków czarnych od błota; dolinie wypełnionej rzeczywistym cierpieniem, fałszywą często radością i tak straszliwie oranej wzruszeniami, iż trzeba doprawdy czegoś nadzwyczajnego, aby osiągnąć trwalsze nieco wrażenie. Mimo to zdarzają się tam od czasu do czasu cierpienia, które przez nagromadzenie występku i cnoty nabierają jakiejś wielkości i dostojeństwa: na ich widok egoizmy, interesy przystają wzruszone; ale wrażenie to jest niby soczysty, szybko pochłonięty owoc. Wóz cywilizacji, podobny do wozu bóstwa z Dżagernat³, ledwie wstrzymuje się chwilę w drodze, skoro serce mniej łatwe do zmiżdżenia od innych zatrzyma jego koła; skruszywszy je niebawem, wiedzie dalej swój pochód zwycięski. Tak i wy: ty, która trzymasz tę książkę w białej dłoni, ty, który zanurzasz się w miękki fotel, powiadając sobie: „Może mnie to rozerwie”. Odczytawszy dzieje tajemnych niedoli ojca Goriot, zjecie ze smakiem obiad, składając swą nieczułość na karb autora, pomawiając go o przesadę, o poezję. Ach, wiedźcie: dramat ten nie jest ani wymysłem, ani romansem. *All it true*⁴, Jest on tak prawdziwy, że każdy odnajdzie jego składniki w sobie, może we własnym sercu.

Dom, w którym ulokował się pensjonat, należy do pani Vauquer. Leży na skraju ulicy Neuve-Sainte-Geneviève, w miejscu, gdzie poziom obniża się ku ulicy Arbalète tak nagłym i bystrym spadkiem, że pojazdy rzadko zapuszczają się w tę okolicę. Przyczynia się to do ciszy ulic stłoczonych między Val-de-Grâce a tumem Panteonu, dwiema budowlami, które nadają swoisty charakter atmosferze, barwiąc ją żółtymi tonami, gasząc wszystko surowym cieniem padającym od kopuł. Bruk suchy, w ściekach nie ma błota ani wody, trawa porasta pod murem. Najobojętniejszy człowiek ulega smutkowi ogarniającemu tu każdego; turkot pojazdu staje się istnym wydarzeniem, domy są martwe, mury trącą kaźnią. Zbłąkany paryżanin ujrzy

² *intra* i *extra muros* – wewnątrz i na zewnątrz murów (łac.).

³ bóstwo z Dżagernat – hinduski bóg Wisnu.

⁴ *all it true* – wszystko to prawda (ang.).

tam jedynie tanie pensjonaty lub zakłady publiczne, nędzę i nudę, starość chylącą się ku śmierci, radosną młodość zniewoloną do pracy. Nie ma w Paryżu okropniejszej i powiedzmy, mniej znanej dzielnicy. Ulica Neuve-Sainte-Geneviève zwłaszcza jest niby brązowa rama, harmonizująca z tym opowiadaniem, do którego trzeba, o ile możliwości, nastroić ducha ciemnym kolorem, poważnymi myślami: tak, w miarę jak podróżnik zstępuje do katakumb, z każdym stopniem światło słabnie i śpiew przewodnika głuźnie. Jakież prawdziwe porównanie? Któż rozstrzygnie, który widok jest straszliwszy, wyschłych serc czy pustych czaszek?

Front wychodzi na ogródek w ten sposób, że budynek przylega bokiem do ulicy Neuve-Sainte-Geneviève, z której widzimy go w pionowym przekroju. Wzdłuż fasady, między domem a ogródkiem, znajduje się brukowany ściek, szeroki na sążęń, dalej ścieżka wysypana piaskiem, otoczona krzewami geranium, oleandrów i granatów posadzonych w niebieskich fajansowych wazonach. Wchodzi się furtką, nad którą widnieje tabliczka z napisem: „Pani Vauquer”, pod spodem zaś: „Pensjonat domowy dla obojga płci i innych”. Za dnia przez ażurową furtkę, uzbrojoną hałaśliwym dzwonkiem, widać na końcu dróżki, na murze wprost ulicy, niszę pomalowaną na zielony marmur przez miejscowego artystę. W tej imitacji niszy wznosi się posąg przedstawiający Amora. Patrząc na obłupany pokost, który go pokrywa, miłośnicy symbolów odkryliby w nim może godło miłości paryskiej, którą leczy się o kilka kroków dalej. Na podstawie wpółzatarty napis przywodzi na pamięć czas, którego sięga ten ornament, a to przez entuzjazm dla Woltera, w epoce jego powrotu do Paryża w r. 1777:

*Jakie bądź imię twe, ród i stan,
Oto twój władca, oto twój pan.*

Z zapadnięciem nocy furtka ustępuje miejsca litej bramie. Ogródek, tak szeroki jak front domu, zamknięty jest od ulicy murem, a z drugiej strony ścianą sąsiedniego domu, z której zwisa opona z bluszczu, ściągająca oczy przechodniów niezwykle malowniczym jak na Paryż widokiem. Mur okalający ogródek obramiony jest szpalerami i winem, którego nikle i zakurzone pędy stanowią przedmiot corocznej troski pani Vauquer i rozmów stołowników. Po obu stronach wąska dróżka prowadzi do naturalnej lipowej altany. Między bocznymi alejami grędy karczochów, otoczone strzyżonymi drzewami owocowymi i obsadzone szczawiem, sałatą i pietruszką. Pod lipami okrągły stolik, pomalowany na zielono, otoczony ławkami. Tam w upalne dni biesiadnicy dość zamożni, aby sobie pozwolić na kawę, przychodzą się napawać tym nektarem w skwarze godnym wylęgarni.

Dom, wysoki na trzy piętra z poddaszem, zbudowano z piaskowca i pomalowano na ów żółty kolor, który daje tak nieszlachetny wygląd większości domów w Paryżu. Okna, po pięć na każdym piętrze, o drobnych szybkach, strojne są żaluzjami, z których każda sterczy pod innym kątem, tak że linie ich kłócą się z sobą. Boczna ściana ma po dwa okna, opatrzone na parterze żelazną kratą. Za domem dziedziniec szeroki na dwadzieścia stóp, gdzie żyją w dobrej komitywie świnię, kury, króliki; w głębi szopa na drzewo. Między szopą a oknem od kuchni ustawiono rodzaj spiżarni, pod którą znajduje się ściek. Z dziedzińca otwierają się na ulicę Neuve-Sainte-Geneviève drzwiczki, którymi kucharka wymiata z domu nieczystości, splukując następnie to bajoro wielką obfitością wody pod grozą morowej zarazy.

Parter, z natury rzeczy stanowiący rdzeń pensjonatu, składa się najpierw z pokoju o szklanych drzwiach i dwóch oknach wychodzących na ulicę. Salon ten sąsiaduje z jadalnią; tę oddziela od kuchni sień, w której wznoszą się drewniane woskowane schody. Trudno o smutniejszy widok niż ten salon, którego całe umeblowanie stanowią fotele i krzesła obite włosiem w matowe na przemian i błyszczące pasy. W środku okrągły stół z płytą imitującą marmur, na nim ów serwis z białej porcelany, o złotych, wpółzatartych już prążkach, jaki spotyka się dziś wszędzie. Pokój ten, o dość lichej podłodze, wyłożony jest do wysokości

klamki drzewem. Powyżej błyszczące obicie przedstawia sceny z „Telemaka”. Przestrzeń między dwoma zakratowanymi oknami bawi oczy pensjonarzy ucztą wydaną przez Kalipso dla syna Odysowego. Od czterdziestu lat malowidło to jest przedmiotem żartów młodszych stołowników, którzy starają się wznieść ponad swój los, dworując sobie z obiadu, na jaki skazuje ich nędza. Kominiek, którego palenisko zawsze czyste świadczy, że ogień zjawia się tu tylko w ważnych uroczystościach, zdobny jest dwoma wazonami sztucznych kwiatów, starych i tkwiących pod kloszami, które okalają szkaradny zegar z niebieskiego marmuru. Pierwszy ten pokój wydziela zapach, na który język nie posiada określenia, a który trzeba by nazwać „odorem pensjonatu”. Odór ten trąci stęchlizną, butwielą, jelkością; przejmuje chłodem, wilgocią, przenika ubranie; ma smak sali, w której niedawno sprzątnięto resztki obiadu, cuchnie kredensem, spiżarnią, szpitalem. Może zdołałby go opisać ktoś, kto by wynalazł proceder określania mdlących oparów, jakie wydają kataralne i swoiste wyziewy każdego pensjonarza bez względu na wiek i płeć. Otóż mimo tych smutnych okropności, gdybyście porównali salon ten z jadalnią, która z nim graniczy, wydałby się wam wytworny i pachnący niby wykwinny budurek. Ta sala, cała wykładana drzewem, była niegdyś pomalowana na kolor niepodobny dziś do określenia, tworzący niby tło, na którym brud rozłożył się warstwami, rysując dziwaczne figury. Dokoła ciągną się wiecznie lepkie półki, na których stoją poszczerbione i pożółkłe karafki, metalowe krążki, stosy fajansowych talerzy o niebieskich obwódkach, jakie wyrabia się w Tournai. W rogu skrzynka z przegródkami na serwety, zawsze poplamione i skropione winem. Pokój ów mieści wiekuiste sprzęty, wygnane zewsząd, ale zachowane tam jak niedobitki cywilizacji w zakładzie nieuleczalnych. Barometr z kapucynem, który wychodzi na słotę; ohydne, odbierające apetyt ryciny, oprawne w czarne lakierowane listewki ze złotym prążkiem; szylkretowy zegar wykładany miedzią, zielony piec, kinkiety, na których kurz miesza się z oliwą, długi stół pokryty ceratą, dość tłustą, aby facecjonista mógł wypisać na niej palcem swe imię, kulawe krzesła, nędzne maty z morskiej trawy, która rozplata się wiecznie, ale i jest wiecznotrwała, zrujnowane, przepalone piecyki do grzania półmisków. Aby wyrazić, do jakiego stopnia sprzęty te są stare, spróchniałe, przegniłe, zżarte, kulawe, ślepe, chrome, dychawiczne, trzeba by tu dać opis, który by nadto odwrócił bieg historii i którego niecierpliwi ludzie nie darowaliby autorowi. Czerwona podłoga pełna wybojów spowodowanych froterką albo malowaniem. Słowem, panuje tam nędza bez poezji; nędza oszczędna, zaciekła, wytarta. Nie ma jeszcze śladów błota, ale ma plamy, nie ma dziur ani łachmanów, ale rozpada się i butwieje.

Pokój ten znajduje się w pełnym blasku w chwili, gdy koło siódmej rano kot pani Vauquer kroczy przed swą panią, skacze po półkach, węszy mleko w przykrytych talerzami garnuszkach i napelnia pokój rannym pomrukiem. Niebawem ukazuje się wdowa, strojna w tiulowy czepek, spod którego zwisa źle włożony fałszywy warkocz; stąpa wlokąc wykrzywione pantofle. Twarz pomarszczona, pulchna, z nosem w kształcie papuziego dzioba, małe tłuste ręce, cała osoba nabita niby szczur kościelny, nazbyt pełny i trzęsący się biust – harmonizuje z tą salą, gdzie mury ociekają nieszczęściem, gdzie z kątów zieje chciwość i gdzie pani Vauquer oddycha cuchnącym i ciepłym powietrzem, nie doświadczając mdłości. Twarz jej świeża jak przymrozek jesienny, okolone siecią zmarszczek oczy, których wyraz przechodzi od wymuszonego uśmiechu tancerki do cierpkiego chłodu lichwiarza, słowem, cała jej osoba tłumaczy ten pensjonat, jak pensjonat wyraża jej osobę. Każdy nie może istnieć bez dozorca. Wyblakła otyłość tej niedużej osóbką jest wytworem sposobu życia, jak tyfus następstwem szpitalnych wyziewów. Wełniana, robiona na drutach halka wygląda spod spódnicy sporządzonej ze starej sukni, która przez siatkę poprzecieranej materii ukazuje strzępy waty; strój ten streszcza salon, jadalnię, ogródek, zwiastuje kuchnię i pozwala się domyślać stołowników. Widząc tę ramę oraz osobę właścicielki, mamy zupełny obraz. Pani Vauquer, licząca lat około pięćdziesięciu, podobna jest do wszystkich kobiet, które dużo przeszły. Ma szkliste oko, niewinną minę stręczycielki, zbrojącej się w surowość, aby

wycisnąć wyższą cenę, ale gotowej do wszystkiego, aby poprawić swój los; gotowej wydać Georges'a albo Pichegru⁵, gdyby to było jeszcze możliwe. Mimo to wszystko to w „gruncie dobra kobieta”, powiadają pensjonarze, którzy uważają ją za biedną, słysząc, jak stęka i kaszle jak oni. Kim był Vauquer? Nigdy wdowa nie wyraziła się jasno o pozycji nieboszczyka. W jaki sposób stracił majątek? „Nieszczęścia” – odpowiadała. Postąpił sobie z nią niegodziwie, zostawił jej tylko oczy do łez, ten domek, aby żyć, i prawo do obojętności na każdą niedolę, ponieważ (powiadała) wycierpiała sama wszystko, co można wycierpieć.

Słyszając dreptanie pani, gruba Sylwia, kucharka, spieszy podać śniadanie dla pensjonarzy. Przychodni jadają zazwyczaj tylko obiad, za który płacą trzydzieści franków miesięcznie. W dobie, gdy zaczyna się ta historia, „stałych” było tylko siedmiu. Pierwsze piętro zawierało dwa najładniejsze mieszkania w całym domu. Pani Vauquer zajmowała skromniejsze; drugie należało do pani Couture, wdowy po komisarzu wojennym Rzeczypospolitej. Pani Couture miała przy sobie bardzo młodą osobę, Wiktorynę Taillefer, której zastępowała matkę. Obie płaciły razem do tysiąca ośmiuset franków rocznej pensji. Na drugim piętrze jedno mieszkanie zajmował staruszek nazwiskiem Poirot, drugie mężczyzna około czterdziestoletni, który nosił czarną perukę, malował bokobrody i mienił się ekskupcem; nazywał się Vautrin. Trzecie piętro składało się z czterech pokoi, z których dwa były wynajęte: w jednym mieszkała stara panna, nazwiskiem Michonneau; w drugim były fabrykant makaronu i krochmalu, który pozwalał się zwać ojcem Goriot. Dwa pozostałe pokoje przeznaczone były dla przelotnych ptaków, dla nieszczęśliwych studentów, którzy, jak ojciec Goriot i panna Michonneau, mogli obrócić jedynie czterdzieści pięć franków miesięcznie na życie i mieszkanie; ale pani Vauquer nie lubiła tego typu pensjonarzy, przyjmowała ich jedynie w braku czego lepszego; jedli za dużo chleba. W tej chwili jeden pokój zajmował młody student prawa przybyły spod Angoulême; liczna jego rodzina dokazywała cudów, aby mu zapewnić tysiąc dwieście franków rocznie. Eugeniusz de Rastignac – takie było jego miano – był jednym z owych młodych ludzi pracowitych z musu, którzy już w młodym wieku pojmują, że są nadzieją rodziny; którzy starają się zdobyć podwaliny świetnej przyszłości, układając celowo plan studiów i dostrajając je z góry do przyszłej ewolucji społeczeństwa, iżby pierwsi mogli wycisnąć z niej korzyści. Bez interesujących obserwacji tego młodego człowieka oraz zręczności, z jaką umiał się wcisnąć w paryskie salony, opowieść ta nie posiadałaby owego kolorytu prawdy, jaki jej da z pewnością jego bystrość oraz chęć zgłębienia tajemnic straszliwego położenia, równie starannie ukrywanych przez tych, co je stworzyli, jak przez tego, co je cierpiał.

Nad trzecim piętrem był strych do bielizny oraz dwie klitki, gdzie sypiali posługacz Krzysztof i gruba Sylwia, kucharka. Oprócz siedmiu „domowych” pani Vauquer miała zawsze jakich ośmiu studentów prawa lub medycyny i dwóch lub trzech stałych gości mieszkających w sąsiedztwie, abonujących tylko obiady. Do obiadu siadało w jadalni osiemnaście osób, mogłoby się zaś pomieścić dwadzieścia; rano natomiast znajdowało się tam tylko siedmioro domowych, których śniadanie miało charakter rodzinny. Każdy schodził w pantoflach, pozwalał sobie na uwagi dotyczące stroju i zachowania się „przychodnich” lub też wydarzeń poprzedniego wieczoru, a wyrażał się przy tym z poufałą zażyłością. Ci pensjonarze to były pieszczochy pani Vauquer, która ze ścisłością astronoma odmierzała im starania i wygody wedle opłaconej sumy. Jeden i ten sam wzgląd powodował tymi skupionymi przez traf istotami. Dwaj lokatorzy z drugiego piętra płacili tylko siedemdziesiąt dwa franki na miesiąc. Taniość ta, którą spotyka się jedynie w dzielnicy Saint Marcel między szpitalem la Bourbe a szpitalem Salpêtrière i w której jedna pani Couture stanowiła wyjątek, świadczy, iż wszyscy ci pensjonarze musieli się znajdować pod znakiem mniej lub bardziej widocznych nieszczęść. Toteż żałosny obraz tego domu powtarzał się w stroju domowników,

⁵ nazwiska autorów monarchistycznego spisku przeciwko Napoleonowi.

tak samo zaniedbanym. Surduty, których kolor stał się zagadką; trzewiki, jakie w wytwornych dzielnicach porzuca się przy bramie; wystrzępiona bielizna, odzież, która miała już tylko duszę; suknie niemodne, farbowane; zblakłe i stare, cerowane koronki, rękawiczki wyświecone od użycia, zrudziałe kołnierzyki i obszarpane chustki. O ile stroje przedstawiały się w ten sposób, w zamian prawie wszyscy pensjonarze posiadali ciała o mocnej budowie, organizmy, które oparły się burzom, twarze zimne, twarde, wytarte na kształt wyszłych z obiegu talarów. Zwiędłe usta zbrojne były chciwymi zębami. Wygląd tych pensjonarzy pozwalał się domyślać minionych lub obecnych dramatów; nie owych dramatów rozgrywających się przy blasku rampy, w malowanych kulisach, ale dramatów żywych i niemych, dramatów mroźnych, które wszelako pałą serca żarem, dramatów nieustających.

Zmęczone oczy starej panny Michonneau przysłaniał brudny daszek z zielonej kitajki okolonej mosiężnym drutem, zdolny wystraszyć anioła litości. Szal jej, o chudych i żalosnych frędzlach, zdawał się odziewać szkielet, tak kształty, które ukrywał, były kanciaste. Jaki kwas odarł tę istotę z kobiecej formy? Musiała niegdyś być ładna i zgrabna: byli to występki, zgryzota czy chciwość? Czy nadto kochała? Czy była dwuznaczną modystką, czy tylko kurtyzaną? Czy za tryumfy wyuzdanej młodości, przed którą stały się rozkosze, pokutowała starością straszącą przechodniów? Bezbarwny jej wzrok przejmował dreszczem, zwiędła twarz kryła coś groźnego. Miała przenikliwy głos konika polnego krzyczącego w zaroślach z nadejściem zimy. Powiadała, że zajęła się starszym panem cierpiącym na katar pęcherza i opuszczonym przez własne dzieci, które sądziły, że jest bez grosza. Starzec ten zostawił jej tysiąc franków dożywocia, okresowo wydzieranego przez spadkobierców, których potwarzy stała się pastwą. Mimo iż gra namiętności przeżarła jej twarz, można było w niej odnaleźć ślad białej niegdyś cery i delikatnych rysów, które pozwalały przypuszczać, że ciało zachowało resztki piękności.

Pan Poirot był to istny automat. Widząc go snującego się niby szary cień alejami Ogrodu Botanicznego w starym miękkim kaszkiecie, z laską o gałce z poźółkłej kości słoniowej, którą ledwo trzymał w dłoni, widząc bujające na wietrze poły surduta, który niedostatecznie okrywał spodnie niemal próżne i nogi w niebieskich pończochach chwiejące się jak u pijanego, brudną białą kamizelkę, pokurczony żabot z grubego muślinu i halsztuk okręcony dokoła indyjskiej szyi, wielu ludzi zadawało sobie pytanie, czy ten chiński cień należy do śmiałej rasy synów Jafeta⁶, od których roi się na bulwarach. Jaka praca mogła go tak pokurczyć, jaka namiętność pocętkowała gąbczastą twarz, która narysowana przez karykaturzystę wydawałaby się nieprawdopodobna? Czym był dawniej? Może urzędnikiem w ministerium sprawiedliwości, w biurze, gdzie urząd katowski przesyła rachunki kosztów, rachunki za dostawę czarnych welonów dla ojcobójców, trocin do śmiertelnego koszyka, sznurów do gilotyny? Może kontrolerem przy szlachtuzie⁷ lub podinspektorem urzędu zdrowia? Słowem, człowiek ten zdawał się jednym z mułów wielkiego młyna społecznego; jednym z owych Ratonów paryskich, którzy nie znają nawet swoich Bertrandów⁸, jedną z osi, na których kręcą się publiczne niedole lub publiczne plugastwa, słowem, jednym z tych ludzi, na których widok mówimy: „Hm, ostatecznie trzeba, aby tacy byli”. Świetny Paryż nie zna tych twarzy wyblakłych od moralnych lub fizycznych cierpień. Ale Paryż to prawdziwy ocean. Możecie rzucać weń sondę, nigdy nie poznacie prawdziwej jego głębokości. Przebieżcie go, opisujcie; choćbyście nie wiem jak go przebiegali i opisywali, choćby nie wiem jak liczni i gorliwi byli badacze tego morza, zawsze znajdzie się jakaś dziewicza ustron, nieznamiona czeluść, kwiaty, perły, potwory, coś niesłychanego, zapomnianego przez literackich nurków. Pensjonat Vauquer jest jedną z tych ciekawych potworności.

⁶ Jafet – trzeci syn Noego; biblijny protoplasta mieszkańców Europy i Azji Mniejszej.

⁷ szlachtuz – rzeźnia (niem.).

⁸ imiona bohaterów bajki La Fontaine’a „Kot i małpa”

Dwie postacie tworzyły uderzający kontrast z ogółem pensjonarzy i „przychodnich”. Mimo iż Wiktoryna Taillefer blada była ową chorobliwą bladością młodych dziewcząt dotkniętych chlorozą⁹, a jej smutek, jej nieśmiałość, uboga i skromna postać miały coś zbliżonego z powszechnym cierpieniem stanowiącym tło tego obrazu – twarz jej nie była stara, ruchy i głos były świeże. Ta smutna młodość przypominała roślinę o pożółkłych liściach, świeżo zasadzoną w nieżyznym gruncie. Rudawa pleć, płowe włosy, zbyt szczupła kibić tchnęły wdziękiem, jaki dzisiejsi poeci znajdują w posążkach średniowiecza. Szare podkrążone oczy wyrażały chrześcijańską słodycz i rezygnację. Niekosztowny strój zdradzał młode kształty. Była ładna przez kontrast. W szczęściu byłaby urocza: szczęście jest poezją kobiet, jak strój ich barwiczką. Gdyby balowe upojenie rzuciło swe różowe blaski na tę bladą twarzyczkę; gdyby słodczyce wykwintnego życia ubarwiły te z lekka zapadłe policzki; gdyby miłość ożywiła te smutne oczy, Wiktoryna mogłaby iść o lepsze z najładniejszymi. Brakowało jej tego, co stwarza drugi raz kobietę: stroju i czułych słówek. Historia jej mogłaby wypełnić całą książkę. Ojciec Wiktoryny podejrzewając, że to dziecko nie jest jego, nie chciał jej przy sobie, wyznaczył córce jedynie sześćset franków rocznie i obszedł prawo, aby przekazać cały majątek synowi. Pani Couture, daleka krewna matki, która niegdyś schroniła się u niej, aby umrzeć z rozpacz, zaopiekowała się sierotą jak własnym dzieckiem. Nieszczęściem, wdowa po komisarzu nie posiadała nic poza rentą wdowią i emeryturą; mogła pewnego dnia zostawić biedną dziewczynę, bez doświadczenia i środków, na pastwę losu. Pocziwa kobieta prowadziła Wiktorynę na mszę co niedzielę, do spowiedzi co dwa tygodnie, aby z niej zrobić na wszelki wypadek nabożną dziewczynę. Miała słuszość. Uczucia religijne otwierały przyszłość odrażonemu dziecku, które kochało ojca, które co roku, chcąc zanieść mu przebaczenie matki, pukało do ojcowskich drzwi, nieubłagane zamkniętych. Brat, jedyny naturalny pośrednik, nie odwiedził jej ani razu w ciągu czterech lat i nie posyłał żadnej pomocy. Błagała Boga, aby otworzył oczy ojca, aby zmiękczył serce brata: nie oskarżając ich, modliła się za obu. Pani Couture i pani Vauquer nie znajdowały w słowniku dość obelżywych słów, aby napiętnować to postępowanie. Gdy przeklinały bezecnego milionera, Wiktoryna łagodziła je słodkimi słowy, podobnymi do śpiewu ranionego gołębia, którego bolesny krzyk jeszcze wyraża miłość.

Eugeniusz de Rastignac miał typową twarz południowca, białą cerę, czarne włosy, niebieskie oczy. Postać jego, obejście, formy zdradzały pańskie dziecko, które z domu wyniosło niezawodne tradycje dobrego smaku. Oszczędny w stroju, donaszał na co dzień zeszłoroczne suknie; mimo to wychodził niekiedy na miasto odziany tak, jak ubierają się panie. Zwykle nosił stary surdut, lichą kamizelkę, tani czarny krawat, zniszczony, źle zawiązany, spodnie odpowiadające całosci i zelowane buty.

Przejście między tymi dwiema osobami a resztą stanowił Vautrin, czterdziestolatek o farbowanych bokobrodach. Był to jeden z tych ludzi, o których się mówi: „Tęgi chwata!” Miał szerokie ramiona, rozwinięty tors, wybitnie zarysowane mięśnie, grube, kwadratowe ręce porosłe pęczkami rudej szczeciny. Twarz, porwana przedwczesnymi zmarszczkami, miała wyraz twardy, któremu przeczyło łatwe i serdeczne wzięcie. Niski, basowy głos, w harmonii z grubą wesołością, nie był niemiły. Vautrin był uczynny i jowialny. Jeśli, dajmy na to, niedomagał jakiś zamek w mieszkaniu, zaraz go rozłożył, naprawił, naoliwił, przypiłował, założył z powrotem mówiąc: „Znamy się na tym interesie”. Znał zresztą wszystko, okręty, morze, Francję, zagranicę, interesy, ludzi, wypadki, prawa, hotele i więzienia. Jeśli ktoś nadto się użalał, natychmiast ofiarowywał mu usługi. Pożyczył niejedną raz pieniędzy pani Vauquer i wielu pensjonarzom; ale ci, którym wygodził, raczej by umarli, niżby go mieli zarwać, tyle mimo dobrodusznej miny budziło obawy jego głębokie i stanowcze spojrzenie. Miał zwyczaj plucia na parę kroków, zwiastując niezmaconą zimną krew, która nie cofnęłaby się przed

⁹ chloroza – blednica, niedokrwistość (n.-łac.).

zbrodnią, gdyby zbrodnia miała wybawić go z kłopotliwej sytuacji. Oko jego, jak surowy sędzia, wnikało w głąb każdej kwestii, każdego sumienia, uczucia. Zwykł być wychodzić po śniadaniu, zjawiał się na obiad, znikał na cały wieczór i wracał koło północy przy pomocy klucza, który mu pani Vauquer powierzyła. On jeden cieszył się tym przywilejem. Ale też był on na najlepszej stopie z wdową, którą nazywał mamusią, obejmując ją wpół: pochlebstwo nie dość ocenione! Dobra kobieta uważała to za rzecz jeszcze łatwą, podczas gdy jeden Vautrin miał ramię dość długie, aby objąć tę poważną cyrkumferencję. Szeroki jego gest objawiał się w tym, iż płacił szczerze piętnaście franków na miesiąc za kawę z wódką, którą zwykł był pić przy deserze. Ludzie mniej powierzchowni niż owa młodzież porwana wirem paryskiego życia lub starcy obojętni na wszystko, co ich bezpośrednio nie tyczy, nie byłiby poprzestali na dwuznacznym wrażeniu, jakie w nich budził Vautrin. On znał lub odgadywał sprawy tych, co go otaczali, gdy nikt nie mógł przeniknąć jego myśli ani zajęć. Jego pozorna dobroduszość, jego stała uprzejmość i wesołość stanowiły niby zaporę, którą odgrodził się od innych; mimo to często zdarzało mu się odsłonić straszliwą głębię swego charakteru. Często wybuch godny Juwenala¹⁰, jak gdyby rozkoszujący się tym, aby zohydzać prawa, aby smagać społeczeństwo, dowodzić jego niekonsekwencji, budził przypuszczenie, że ten człowiek ma urazę do świata i że na dnie jego życia znajduje się starannie zagrzebana tajemnica.

Przyciągana może bezwiednie siłą czterdziestolatka lub urodą studenta panna Taillefer dzieliła ukradkowe spojrzenia, swoje tajemne myśli między nich obu; ale żaden z nich, na pozór, nie myślał o niej, mimo iż przypadek mógł z dnia na dzień zmienić jej położenie i uczynić z niej posażną partię. Zresztą nikomu tam nie przyszło do głowy sprawdzać, czy nieszczęścia przytaczane przez któregoś z współlokatorów są prawdziwe czy udane. Wszyscy żywili względem siebie wzajemną obojętność z domieszką zrozumiałej nieufności. Każdy wiedział, że nikt nie ma sposobu ulżenia jego nieszczęściom; wzajemne zaś zwierzenia wyczerpały czarę współczucia. Podobni staremu małżeństwu, nie mieli już sobie nic do powiedzenia. Pozostały stosunki jedynie mechaniczne, tarcie nie naoliwionych kółek. Każda z tych osób zdolna była minąć obojętnie na ulicy ślepego, wysłuchać bez wzruszenia opowieści o czyjejś niedoli i patrzeć na śmierć jako na rozwiązanie problemu nędzy, która pozwalała chłodno oglądać najstraszliwsze agonie. Najszczęśliwszą z tych znękanych dusz była pani Vauquer, królująca w tym przytulisku. Dla niej jednej mały ogródek, który cisza i chłód, susza i zimno czyniły rozległym na kształt stepu, był powabnym gaikiem. Dla niej jednej ów żółty i ponury dom, cuchnący grynszpanem¹¹ szynkowej lady, miał swoje uroki. Te celki były jej własnością. Żywiła tych galerników, skazanych na wiekuiste katusze, sprawując nad nimi formalną władzę. Gdzież w całym Paryżu znalazłyby biedne istoty za tę cenę zdrowy i obfity pokarm oraz mieszkanie, w którym mogły sobie stworzyć jeśli nie wykwin i wygodę, to w każdym razie schludność i zdrowie? Gdyby nawet pozwoliła sobie na krzyczącą niesprawiedliwość, ofiara zniosłaby to bez skargi.

Takie zgromadzenie musiało się stać w miniaturze odbiciem społeczeństwa. Wśród osiemnastu stołowników spotykało się jak w szkołach, jak w świecie, biedną upośledzoną istotę, kozła ofiarnego, na którego spadały wszystkie żarciki. Z początkiem drugiego roku postać ta stała się dla Eugeniusza de Rastignac najbardziej godna uwagi ze wszystkich tych osób, między którymi trzeba mu było żyć jeszcze dwa lata. Owym popychadłem był ekshandlarz mąki, ojciec Goriot, na którego głowie zarówno malarz, jak historyk skupiałby całe światło. Mocą jakiego przypadku ta zaprawna nienawiścią wzgarda, to pomieszane z litością prześladowanie, ta zniewaga nieszczęścia ugodziły najdawniejszego z pensjonarzy?

¹⁰ Juwenal (Decimus Iunius Iuvenalis) – rzymski poeta i satyryk atakujący zakłamanie, fałsz i chciwość, bystry obserwator obyczajów rzymskich.

¹¹ grynszpan – śniedź (niem.).

Czy dał do nich powód przez śmieszności lub dziwactwa, które ludzie przebaczą trudniej niż występki? Pytania te potrącają o wiele społecznych niesprawiedliwości. Może jest w naturze ludzkiej kazać wszystko znieść komuś, kto wszystko cierpi przez istotną pokorę, słabość lub obojętność. Czyż nie lubimy dowodzić naszej siły kosztem kogoś albo czegoś? Najwątlesza istota, wyrostek uliczny dzwoni do wszystkich bram w mroźną noc lub wspina się na palce, aby wypisać swoje nazwisko na nietkniętym pomniku.

Ojciec Goriot, starzec sześćdziesięciodziewięcioletni, osiedlił się u pani Vauquer w 1813 roku wycofawszy się z interesów. Zrazu wziął mieszkanie zajmowane obecnie przez panią Couture i płacił tysiąc dwieście franków, jak człowiek, dla którego różnica paru ludwików była drobnostką. Pani Vauquer odświeżyła trzy pokoje w zamian za kwotę, która pokryła podobno wartość lichego urządzenia, perkalikowych firanek, politurowanych i obitych pluszem foteli, kilku malowideł i papierowego obicia, jakim wzgardziłby lada szynk podmiejski. Może niedbała hojność, z jaką ojciec Goriot (wówczas nazywano go panem Goriot) pozwolił się obdzcierać, zjednała mu opinię głupca nie mającego pojęcia o interesach. Goriot przybył z zasobną garderobą, wyekwipowany jak kupiec, który dorobiwszy się, niczego sobie nie odmawia. Pani Vauquer podziwiała osiemnaście koszul z holenderskiego płótna, których cienkość biła w oczy tym bardziej, iż fabrykant makaronu wpinał w żabot duże diamentowe szpilki połączone złotym łańcuszkiem. Ubrany zazwyczaj w błękitny garnitur, wdziewał co dzień świeżą białą pikową kamizelkę, pod którą falował wydatny brzuszek, podnoszący swym obwodem ciężki złoty łańcuch z mnóstwem breloków. Tabakierka, również złota, zawierała medalion pełen włosów, które na pozór świadczyły o miłosnych podbojach. Kiedy gospodyni żartobliwie wymyślała mu od lampartów, na ustach starego błdził wesoły uśmiech zadowolonego mieszczucha. Szafy jego pełne były sreber z dawnego gospodarstwa. Oczy wdowy płonęły, kiedy pomagała usłudze rozpakowywać i układać łyżki, chochle, widelce, serwis na oliwę, sosjerki, półmiski, srebrne nakrycia do śniadania, kawałki nie zawsze gustowne, ale mające pełną wagę. Goriot nie chciał się rozstać z tym sprzętem, podarki te przypominały mu domowe uroczystości.

– To – objaśniał panią Vauquer chowając spodek i czarę, której pokrywkę zdobiły całujące się turkawki – to pierwszy podarek żony w rocznicę ślubu. Bidusia droga! Poświęciła na to swoje panięńskie oszczędności. Pojmuje pani, wołałbym raczej drapać paznokciami ziemię niż rozstać się z tą pamiątką. Chwała Bogu, będę mógł w tym pijać kawkę co rano aż do końca życia. Niezgorzej wyszedłem z interesów, mam zapewniony do śmierci chleb, i to z omastą.

Wreszcie pani Vauquer spostrzegła, okiem ciekawej sroki, listy zastawne¹², które zsumowane z grubsza mogły dawać pocziwemu Goriot jakichś osiem do dziesięciu tysięcy franków rocznie.

Od tego dnia pani Vauquer, z domu Conflans, która miała lat czterdzieści osiem, ale przyznawała się do trzydziestu dziewięciu, powzięła myśl. Mimo iż powieki ojca Goriot były obrzękłe i obwisłe, co zmuszało go do częstego wycierania oczu, cała powierzchowność wydała się wdowie przyjemna i dystygowana. Poza tym łydki jego, mięsiste i wydatne, zarówno jak długi graniasty nos, zwiastowały przymioty moralne, do których wdowa zdawała się przywiązywać wagę, a które potwierdzała szeroka i naiwna twarz pocziwca. Wyglądał na solidnie zbudowaną bestię, zdolną włożyć całą swoją inteligencję w uczucie. Włosy zaczesane w skrzydełka, które balwierz przychodził pudrować co rano, rysowały pięć charakterystycznych kosmyków na niskim czole i dobrze stroiły jego fizys. Mimo iż z wejrzenia nieco pospolity, zdradzał taki dostatek w stroju, tak obficie zażywał tabakę, siąkał ją jak człowiek tak pewny, że zawsze będzie miał pełno makuby w tabakierce!... W dniu, w którym pan Goriot rozgościł się u niej, pani Vauquer położyła się wieczorem do łóżka piekąc

¹² listy zastawne – forma zabezpieczania kapitału.

się, niby kuropatwa w słoninie, w ogniu pragnienia, aby zrzucić żałobny welon wdowy i odrodzić się jako pani Goriot. Wydać się, sprzedać pensjonat, paradować pod rękę z tym tuzem mieszczaństwa, stać się figurą w dzielnicy, kwestować, jeździć w niedzielę na trawkę do Choisy, Soissy, Gentilly, chodzić do teatru do łoży, nie czekając na gratisowe bilety, które jej przynosili w lipcu niektórzy stołownicy: wymarzyła sobie całe Eldorado paryskiego drobnomieszczaństwa. Nie przyznała się nikomu, że ma czterdzieści tysięcy franków, uciulanych grosz do grosza. To pewna, iż pod względem majątkowym uważała się za bardzo przyzwoitą partię.

– Co się tyczy reszty, warta jestem przecież tyle co on – powiada sobie przewracając się po łóżku, jak gdyby chcąc przekonać samą siebie o wdziękach, których głęboki odcisk gruba Sylwia znajdowała co rano w pościeli.

Od tego dnia blisko przez trzy miesiące pani Vauquer korzystała z balwierza pana Goriot i poczyniła wkłady toaletowe, usprawiedliwione koniecznością pewnego *decorum*¹³, w harmonii z godnymi osobami, które nawiedzały jej dom. Rozwinęła wiele intryg, aby zmienić personel pensjonarzy, podkreślając pretensję przyjmowania odtąd jedynie ludzi dystygowanych. Skoro zjawił się ktoś obcy, szczyliła się pierwszeństwem, jakie jej dał pan Goriot, jeden z najbardziej szanowanych przemysłowców paryskich. Rozdawała prospekty, na których widniało: „Pensjonat pani Vauquer”. Jest to, powiadała, jeden z najstarszych i najbardziej cenionych pensjonatów w Dzielnicy Łacińskiej. Posiada uroczy widok na ulicę Gobelinów (widać ją było z trzeciego piętra) i ładny ogród, na którego końcu rozciąga się aleja lipowa! Wspomniano tam o dobrym powietrzu i o ustronnym położeniu. Prospekt ten ściągnął hrabinę de l'Ambermesnil, kobietę trzydziestoletnią, czekającą końca likwidacji i uregulowania emerytury, która jej się należała jako wdowie po generale poległym na polach bitwy. Pani Vauquer wprowadziła pewien wykwint w kuchni, kazała palić w salonie blisko przez pół roku i wypełniała tak sumiennie obietnice prospektu, że „dokładała ze swego”. Toteż hrabina zapewniała panią Vauquer, nazywając ją drogą przyjaciółką, iż ściągnie jej baronową de Vaumerland i wdowę po pułkowniku hr. Picquoiseau, swoje dobre znajome, które muszą domieszkować terminu w dzielnicy Marais, w pensjonacie droższym niż zakład pani Vauquer. Te damy będą się miały zresztą bardzo dobrze, skoro ministerium wojny załatwi ich sprawę.

– Ale – dodawała – te biura nie kończą nigdy nic!

Obie wdowy przychodziły po obiedzie do pokoju pani Vauquer i uciwały tam pogawędkę, popijając nalewkę i zającąc smakołyki zrobione specjalnie dla pani domu. Pani de l'Ambermesnil pochwaliła widoki gospodyni na pana Goriot: doskonały pomysł, który zresztą odgadła od pierwszego spojrzenia; Goriot wydał się jej mężem idealnym.

– Och! moja droga pani, męczyzna zdrów jak ryba – mówiła wdowa – człowiek doskonale zakonserwowany, może jeszcze dać kobiecie wiele satysfakcji.

Hrabina dała wielkodusznie pani Vauquer parę wskazówek co do stroju, nie będącego w harmonii z jej pretensjami.

– Trzeba się postawić na stopie wojennej – rzekła.

Po długich naradach wdowy udały się razem do Palais-Royal, gdzie w Galeriach Drewnianych kupiły kapelusz z piórami i czepek. Hrabina zaciągnęła przyjaciółkę do „Joasi”, gdzie wybrały suknię i szal. Skoro wystrzelano tę amunicję i wdowa stanęła pod bronią, przypominała wiernie szyld sklepu „Pod strojnym wołem”. Mimo to była tak zadowolona ze swej postaci, iż czuła się wdzięczną hrabinie i, jakkolwiek nieskora do podarków, ofiarowała jej kapelusz za dwadzieścia franków. Co prawda, miała zamiar prosić ją, po przyjaźni, o wysondowanie Goriot i poparcie jej interesów. Pani de l'Ambermesnil chętnie ofiarowała się z przyjacielską pomocą i zaczęła oblegać starego makaroniarza, którego zdołała ściągnąć na

¹³ decorum – tu: pozory wspaniałości.

konferencję; ale znalazłszy go wstydlwym, żeby nie powiedzieć opornym, wobec usiłowań, jakimi natchnęła ją osobista chęć uwiedzenia go na własny rachunek, wyszła oburzona jego grubiaństwem.

– Moja złota pani – rzekła do najdroższej przyjaciółki – nic pani nie wycisnie z tego człowieka: podejrzliwy do śmieszności, kutwa, głupiec, bałwan, który przyniesie ci same zgryzoty.

Między panem Goriot a panią de l'Ambermesnil zaszły rzeczy tego rodzaju, że hrabina nie chciała widzieć go na oczy. Nazajutrz znikła, zapominając zapłacić pensji za pół roku i zostawiając rupiecie warte pięć franków. Mimo zawziętości, z jaką pani Vauquer prowadziła poszukiwania, nie mogła uzyskać w Paryżu żadnej wiadomości o hrabinie de l'Ambermesnil. Mówiła często o tej żalösnej sprawie, bolejąc nad swą łatwownością, mimo iż była bardziej nieufna od kotki; ale była w tym podobna do wielu osób, które strzegą się swoich bliskich, a dadzą wystrychnąć na dudka pierwszemu z ulicy. Jest to zjawisko dziwne, ale prawdziwe, którego korzenie łatwo odnaleźć w sercu ludzkim. Być może, niektórzy ludzie nie mają już nic do zyskania wobec osób, z którymi żyją; odsłoniwszy im pustkę własną, czują, że ściągnęli na siebie sąd zasłużony a surowy; ale doznając niezwalczonej potrzeby pochlebstwa, na którym im zbywa, lub żądni błyszczeć pozorami przymiotów, których im brak, siłą się zyskać szacunek lub serce obcych z narażeniem się na to, iż prędzej lub później je stracą. Istnieją wreszcie osoby z natury interesowne, które nie uczynią nic dobrego dla przyjaciół lub bliskich, bo to jest ich obowiązek, podczas gdy oddając usługę obcym odcinają kupony próżności. Im krąg przywiązań jest bliższy, tym mniej mają serca; im bardziej się oddala, tym są usłużniejsi. Pani Vauquer miała z pewnością coś z tych obu natur, małostkowych, fałszywych, wstrętnych.

– Gdybym ja był tutaj – mawiał wówczas Vautrin – nie byłoby się pani zdarzyło to nieszczęście! Od pierwszego spojrzenia spenetrowałbym szelmeczkę. Znam się na tych „cyferblatach”.

Jak wszyscy mali ludzie, pani Vauquer miała zwyczaj nie wychodzić z koła przypadków i nie sądzić ich przyczyn. Lubiła czepiać się drugich o własne błędy. Od czasu tej katastrofy uważała zacnego makaroniarza za źródło nieszczęścia i, jak mówiła, od tego dnia zaczęła trzeźwieć na jego punkcie. Poznawszy bezskuteczność swoich mizdrzeń i kosztów reprezentacji, rychło odgadła i przyczynę. Spostrzegła, że pensjonarz, wedle jej wyrażenia, „gdzieś łązi”. Słowem, nabrała przeświadczenia, że jej wypieszczona nadzieja jest chimera i że nigdy, wedle energicznego wyrażenia hrabiny, która wyraźnie znała się na tym, nie wycisnie nic z tego człowieka. Posunęła się, siłą rzeczy, dalej w nienawiści, niż wprzód zaszła w sympatii. Nienawiść była w proporcji nie do jej miłości, ale do zawiedzionych nadziei. O ile serce ludzkie znajduje chwilę spoczynku wstępując na wyżyny przywiązania, rzadko zatrzymuje się na bystrym spadku nienawiści. Ale Goriot był jej pensjonarzem, wdowa musiała tedy stłumić wybuchy zranionej miłości własnej, pogrzebać westchnienia, które wydierał jej zawód, i dławić pragnienie zemsty, jak mnich gnębiony przez przeora. Małe dusze zaspokajają dobre czy złe uczucia za pomocą nieustannych małostek. Wdowa rozwinęła całą kobiecą złośliwość w prześladowaniu swojej ofiary. Zaczęła od tego, że obcięła wszystkie przyprawy i dodatki wprowadzone ostatnimi czasy przy stole.

– Żadnych korniszonów, żadnych piklów, to są bzdurstwa! – rzekła do Sylwii w dniu, w którym wróciła do dawnego programu.

Goriot był to człowiek skromny, u którego oszczędność, niezbędna ludziom, co własną pracą dorabiają się fortuny, wyrodziła się w przyzwyczajenie. Zupa, sztuka mięsa, jarzyna zawsze miały zostać jego ulubionym obiadem. Trudno było zatem pani Vauquer dokuczyć stołownikowi, którego gustów nie mogła w niczym zadrasnąć. Zrozpaczona, że trafiła na człowieka nie posiadającego słabej strony, zaczęła podkopywać jego stanowisko; w ten sposób zaraziła swą niechęcią stołowników, którzy dla rozrywki szli na rękę jej zemście. Pod

koniec roku wdowa doszła do takiej nieufności, że pytała sama siebie, czemu ten były kupiec, liczący siedem do ośmiu tysięcy franków renty, posiadający wspaniałe srebra i kosztowności niczym jaka utrzymanka, mieszka u niej płacąc pensję tak skromną w stosunku do swego majątku. W pierwszym roku Goriot obiadował zwykle raz lub dwa razy na tydzień poza domem; później, nieznacznie, doszedł do tego, że jadał w mieście tylko dwa razy na miesiąc. Wyprawy imć Goriota nadto były zgodne z interesami pani Vauquer, aby mogła bez niechęci patrzeć na regularność, z jaką stołownik jej spożywa obiad w domu. Zmiany przypisywała zarówno powolnemu upadkowi majątkowemu, jak chęci dokuczenia gospodyni. Najwstrętniejszym nawykiem tych lilipucich dusz jest to, że podsuwają swoje małostki innym. Na nieszczęście z końcem drugiego roku pan Goriot usprawiedliwił gadania, których był przedmiotem, prosząc panią Vauquer o przeniesienie na drugie piętro i o sníżenie pensji do dziewięciuset franków. Stary rozwinął tak ścisłą oszczędność, że nigdy nie paliło się u niego w zimie. Pani Vauquer zażądała zapłaty z góry, w czym pan Goriot, którego odtąd nazywała „ojcem Goriot”, nie stawiał trudności. Zaczęto na wyprzódki zgadywać przyczyny tego, ale dochodzenie było trudne! Jak orzekła fałszywa hrabina, ojciec Goriot był to człowiek skryty, mruk. Wedle logiki ludzi o pustej głowie – z natury niedyskretnych, bo mają do zwierzenia jedynie same błahostki – ktoś, kto nie mówi o swoich sprawach, musi być podejrzany. Ten szanowny kupiec stał się zatem hultajem, ten „bałamut” został starym ladaco. To (wedle Vautrina, który właśnie zamieszkał w pensjonacie) ojciec Goriot był człowiekiem, który chodzi na giełdę i który zrujnowawszy się na grubej grze wegetuje tam pokątnie. To znów był to jeden z tuzinkowych szulerów, którzy ryzykują małe sumki i wygrywają co dzień po dziesięć franków w ruletkę. To znów robiono zeń szpicla, wachającego się z tajną policją; ale Vautrin twierdził, że stary nie jest dość szczwany na to. Wreszcie w oczach innych lokatorów był kutwą pożyczającym na lichwę, człowiekiem topiącym całe mienie w loterii liczbowej. Przypisywano mu wszystko, co tylko występek, hańba, niedołęstwo zdolne są wyhodować najbardziej tajemniczego. Tylko, mimo całej nikczemności jego przywar i postępowania, wstręt wdowy nie dochodził do tego, aby mu wymówić dom: płacił regularnie. Przy tym był użyteczny, każdy wywierał na nim swój zły czy dobry humor za pomocą żarcików lub opryskliwości. Najprawdopodobniejszym mniemaniem, które też powszechnie przyjęto, było to, które głosiła pani Vauquer. Wedle niej ów człowiek „tak dobrze zakonserwowany, zdrów jak rydz”, z którym można było zaznać jeszcze wiele przyjemności, był to rozpustnik, hołdujący osobliwym gustom. Oto na jakich faktach wdowa Vauquer opierała swoje oszczerstwa. W kilka miesięcy po zniknięciu nieszczęsnej hrabiny, która zdołała żyć pół roku jej kosztem, pewnego rana, leżąc jeszcze w łóżku, pani Vauquer usłyszała szelest jedwabnej sukni i leciutki krok młodej i zwinnej kobiety, pomykającej ku drzwiom ojca Goriot, uchylonym znacząco.

W chwilę potem Sylwia przyszła opowiedzieć pani, że jakaś panna, zbyt ładna, aby mogła być uczciwa, ubrana jak bóstwo, obuta w prunelowe pantofelki ani trochę nie zabłocone, wśliznęła się jak węgorz do kuchni i spytała o mieszkanie pana Goriot. Pani Vauquer i kucharka zasadziły się na czatach i podchwyciły kilka czułych wyrazów podczas wizyty, która trwała jakiś czas. Kiedy pan Goriot przeprowadzał swoją damulę, Sylwia wzięła natychmiast koszyk i udała, że idzie na targ, aby śledzić czułą parę.

– Proszę pani – rzekła wracając – ten Goriot musi być jednak diabelnie bogaty, aby je utrzymywać na tej stopie. Niech sobie pani wyobrazi, na rogu czekał wspaniały powóz, do którego ona wsiadła.

Przy obiedzie pani Vauquer wstała, aby zaciągnąć firankę, chroniąc Goriota przed słońcem, którego promyk padał mu w oczy.

– Piękne kobiety pana kochają, panie Goriot, słońce pana szuka – rzekła robiąc przytyk do rannej wizyty. – Słowo daję, ma pan dobry gust, paluszki lizać.

– To moja córka – rzekł z odcieniem dumy, w której stołownicy wyczytali pretensje starca chroniącego pozory.

W miesiąc później spadła na ojca Goriot nowa wizyta. Córka jego, która za pierwszym razem przyszła w stroju porannym, teraz wpadła po obiedzie, ubrana wieczorowo. Stołownicy zajęci rozmową w salonie ujrzeni ładną blondynkę, szczupłą, zręczną i o wiele zbyt dystyngowaną na to, aby mogła być córką ojca Goriot.

– Masz tobie! Druga – rzekła Sylwia, która nie poznała jej.

W kilka dni później inna kobieta, rosła i kształtna, brunetka z żywymi oczami, spytała o pana Goriot.

– Trzecia! – rzekła Sylwia.

Osóbka ta, która za pierwszym razem przyszła również odwiedzić ojca rano, przybyła w kilka dni później wieczorem, w stroju balowym, w karecie.

– Czwarta! – wykrzyknęła pani Vauquer i gruba Sylwia, nie dopatrzawszy się w tej wielkiej damie żadnego podobieństwa do młodej kobiety tak skromnie odzianej rano.

Goriot płacił jeszcze tysiąc dwieście franków. Pani Vauquer uważała za zupełnie naturalne, że człowiek bogaty ma kilka kochanek; wydało się jej nawet bardzo zręczne, że stary podaje je za córki. Nie gorszyła się, że je sprowadza do domu. Jedyne, ponieważ te odwiedziny tłumaczyły obojętność pensjonarza na jej punkcie, pozwoliła sobie z początkiem drugiego roku nazwać go „starym kocurem”. Wreszcie, kiedy pensjonarz spadł do dziewięciuset franków, spytała go bardzo ostro – widząc, że jedna z tych pań opuszcza jego pokój – czy zamierza zrobić z jej domu dom publiczny. Ojciec Goriot odparł, że ta dama to jego starsza córka.

– Ileż pan ma tych córek, trzydzieści sześć? – rzekła cierpko pani Vauquer.

– Tylko dwie – odparł stary z łagodnością zrujnowanego człowieka, którego nędza ćwiczy stopniowo w pokorze.

Pod koniec trzeciego roku ojciec Goriot jeszcze ograniczył wydatki przenosząc się na trzecie piętro i obniżając pensję do czterdziestu pięciu franków na miesiąc. Poniechał tabaki, oddalił fryzjera i przestał używać pudru. Kiedy ojciec Goriot ukazał się pierwszy raz nie upudrowany, gospodyni wydała okrzyk zdumienia na widok włosów, których siwizna miała odcień brudnozielonkawy. Fizjonomia starca, którą ukryte zmartwienia czyniły z każdym dniem smutniejszą, była najbardziej rozpaczliwa ze wszystkich przy stole. Nie było wątpliwości: ojciec Goriot to był stary rozpustnik, którego oczy jedynie dzięki zręczności lekarza ocalały od złośliwego działania nieodzownych leków. Ohydny kolor włosów był wynikiem nadużyć oraz środków aptecznych, którymi siłił się je podtrzymywać.

Fizyczny i moralny stan nieboraka usprawiedliwiał te gadania. Skoro wyprawka jego się zużyła, kupił najtańszego perkalu, aby zastąpić nim piękną bieliznę. Diamenty, złota tabakierka, łańcuch, klejnoty kolejno znikwały. Goriot porzucił swój błękitny frak, cały rynsztunek zamożnego mieszczanina: nosił zimą i latem surdut z grubego brązowego sukna, kamizelkę z koziej sierści i szare wełniane spodnie. Stopniowo chudł coraz bardziej; łydki opadły, twarz, dawniej tryskająca zadowoleniem szczęśliwego mieszczucha, pomarszczyła się; czoło pomięło się w fałdy, szczeka zarysowała się ostro. W czwartym roku pobytu przy ulicy Neuve-Sainte-Geneviève stary był nie do poznania. Zaczynał handlarz mąki, sześćdziesięciodwulatek wyglądający na czterdzieści wiosen, promieniejący głupotą, tęgim tłustym mieszczuchem, którego zdobywcza postawa rozweselała przechodniów, który miał coś młodego w uśmiechu, zdawał się siedemdziesięcioletnim starcem, ogłupiałym, chwiejącym się na nogach, wypętlonym. Oczy jego tak żywe przybrały stalowy odcień; zbladły, nie łzały się już, czerwona obwódka zdawała się płakać krwią. W jednych budził grozę, w drugich litość. Młodzi studenci medycyny, widząc jego obwisłą dolną wargę i zmierzwiły kąt twarzowy, orzekli po bezskutecznych próbach wydobywania zeń czegoś, że to po prostu kretyn. Jednego wieczora po obiedzie pani Vauquer rzekła drwiąco, podając niejako w wątpliwość

rzekome ojcostwo: „I cóż, nie zachodzą już do pana te panny?” Ojciec Goriot zadrżał, jak gdyby gospodyni żgnęła go żelazem.

– Zachodzą czasami – odparł wzruszonym głosem.

– Ho, ho! Przyjmuje je pan jeszcze czasem? – wykrzyknęli studenci. – Brawo, ojczulku Goriot.

Ale starzec nie słyszał żartów, które ściągnęła nań ta odpowiedź: popadł w zadumę, którą powierzchowni obserwatorzy brali za starcze odrętwienie lub uwiad inteligencji. Gdyby go dobrze znali, może by ich zainteresował problem, który przedstawiało moralne i fizyczne położenie starca; ale rzecz była nader trudna. Mimo że łatwo było dowiedzieć się, czy Goriot był w istocie fabrykantem makaronu i jaką była cyfra jego majątku, starzy ludzie, w których obudził zaciekawienie swoją osobą, nie opuszczali dzielnicy i żyli w pensjonacie niby ostrzygi na skale. Co do innych, ci, pochłonięci wirem paryskiego życia, zapominali opuszczając ulicę Neuve-Sainte-Geneviève o biednym starcu, z którego sobie stroili żarty. Dla owych ciasnych umysłów, jak dla tych obojętnych młodych ludzi, nędza ojca Goriot i jego tępota nie dały się pogodzić z majątkiem lub zdolnościami. Co do kobiet, które stary podawał za córki, każdy podzielał sąd Vauquer, która powiadała z ową surową logiką, jaką nawyk zgadywania wszystkiego daje starym kobietom wypełniającym gawędą długie wieczory:

– Gdyby córki ojca Goriot były takie bogaczki, jak na to wyglądają wszystkie te damy, nie mieszkałby tu na trzecim piętrze, nie żyłby za czterdzieści pięć franków na miesiąc i nie chodziłby ubrany jak dziad.

Nic nie mogło zaprzeczyć tym domysłom. Toteż pod koniec listopada 1819, w epoce, w której wybuchnął ten dramat, każdy z pensjonarzy miał zupełnie ustalone poglądy na biednego starca. Nigdy nie miał córki ani żony; rozpusta uczyniła zeń ślimaka, mięczaka, istotę z klasy „kaszketonośnych”, powiadał jeden z „dochodzących”, urzędnik z Muzeum Przyrodniczego. Poiret był orłem, dżentelmenem przy Goriocie. Poiret mówił, rozprawiał, odpowiadał; mówiąc, rozprawiając, odpowiadając, nie wyrażał co prawda nic, miał bowiem zwyczaj powtarzać warianty tego, co inni mówili; ale przyczyniał się do rozmowy, żył, odczuwał coś, gdy ojciec Goriot (powiadał ten sam urzędnik Muzeum) znajdował się stale na zerze termometru Réaumura¹⁴.

Eugeniusz de Rastignac wrócił z wakacji w stanie, jaki muszą znać młodzi ludzie o wybitnych zdolnościach lub ci, u których trudności zaostrzają chwilowo władze ducha. W pierwszym roku Paryża niewielka suma pracy, której wymaga zdobycie pierwszych stopni uniwersyteckich, zostawiła mu swobodę kosztowania widomych uciech stolicy. Student nie ma zbytku czasu, jeżeli chce poznać teatry, zbadać chodniki paryskiego labiryntu, przeniknąć zwyczaje, nauczyć się języka i wniknąć w przyjemności wielkiego miasta; zdeptać dobre i złe miejsca, uczęszczać na kursa, które go zajmują, przepatrzyć bogactwa muzeów. Student zapala się wówczas do głupstw, które mu się wydają olbrzymie. Ma swego wielkiego człowieka, jakiegoś profesora w Collège de France, z urzędu trzymającego się na wyżynie audytorium. Poprawia krawat i przybiera zdobywcze pozy dla sąsiadki na balkonie w Operze. W próbach tych wyzbywa się prowincjonalnych narowów, rozszerza horyzont i ogarnia w końcu warstwę pokładów ludzkich tworzących społeczeństwo. Jeżeli z początku podziwiał jedynie powozy defilujące w piękny dzień na Polach Elizejskich, niebawem zacznie ich zazdrościć. Eugeniusz przeszedł rychło tę szkołę paryską; kiedy pojechał na wakacje uzyskawszy stopień bakałarza *és lettres*¹⁵ i bakałarza praw, złudzenia dzieciństwa, prowincjonalne przesady pierzchły. Zbudzona inteligencja, podniecona ambicja pozwoliły mu rozejrzeć się jasno w ojcowskim dworku na łonie rodziny. Ojciec, matka, dwie siostry i ciotka, której mienie ograniczało się do szczupłej pensji, żyli wspólnie w małym folwarczku

¹⁴ zero termometru Réaumura – temperatura zamarzania chemicznie czystej wody.

¹⁵ *és lettres* – w zakresie literatury.

Rastignac. Posiadłość ta przynosząca około trzech tysięcy franków zdana była na niepewny los hodowli wina; mimo to trzeba z niej było wydobyć rocznie tysiąc dwieście franków dla syna. Obraz tej ustawicznej nędzy, którą wspaniałomyślnie ukrywano przed nim, nastrożające się porównanie między siostrami, które mu się zdawały tak piękne w dzieciństwie, a paryżankami stanowiącymi dlań wcielenie marzonej piękności, niepewna przyszłość tej licznej rodziny wsparta na jego przyszłości, drobiazgowa oszczędność, jaką w jego oczach rozciągano na najpospolitsze produkty, napój, jaki sporządzało się dla rodziny z wycłoczyn pozostałych w prasie, mnóstwo okoliczności wreszcie, które zbędnym byłoby przytaczać, zdziesięciokrotniły jego żądzę wybicia się i obudziły pragnienie kariery.

Jak bywa u ludzi wyższych, zrazu chciał zawdzięczać wszystko własnej zasłudze. Ale umysł jego miał wszystkie cechy południowców; w praktyce tedy plany jego musiały ulec owym wahaniom, które ogarniają młodych ludzi, kiedy się znajdują na pełnym morzu, nie wiedząc, w którą stronę kierować siły ani pod jakim kątem rozpiąć żagle. Zanurzył się w pracy; niebawem jednak, pociągnięty potrzebą stworzenia sobie stosunków, spostrzegł, jaki wpływ na życie społeczne posiadają kobiety. Postanowił z miejsca rzucić się w świat, aby zdobyć protektorki: czyż mogło ich zbywać chłopcu pełnemu ognia i werwy, które to młodzieńcze zalety podnosił jeszcze wykwił postaci i typ męskiej urody, czarem swym tak łatwo przemawiającej do kobiet? Te myśli oblegały go w polu podczas przechadzek, niegdyś dzielonych wesoło z siostrami, które uważały, że brat bardzo się odmienił. Ciotka, pani de Marcillac, niegdyś bywająca na dworze, znała wszystkie arystokratyczne świeczniki. Naraz we wspomnieniach, którymi ciotka tak często go kołysała, ambitny chłopak ujrzał czynniki światowych sukcesów, co najmniej równie ważnych jak te, do których gotował się na uniwersytecie: pospieszył wybadać ją o węzły pokrewieństwa, które dałoby się jeszcze nawiązać. Przetrzęsławszy gałęzie drzewa genealogicznego stara dama osądziła, iż w samolubnym plemieniu bogatych krewnych ze wszystkich osób, które mogłyby podać rękę siostrzeńcowi, wicehrabina de Beauséant będzie może najprzystępniejsza. Napisała do tej młodej kobiety list w staroświeckim stylu i powierzyła go Eugeniuszowi, powiadając, iż w razie powodzenia wicehrabina wprowadzi go do innych domów. W kilka dni po przybyciu do Paryża Rastignac przesłał pani de Beauséant list ciotki. Wicehrabina odpowiedziała zaproszeniem na bal, który miał się odbyć nazajutrz.

Taka była ogólna sytuacja pensjonatu z końcem listopada 1819 roku. W kilka dni później Eugeniusz, wybrawszy się na bal do pani de Beauséant, wrócił około drugiej. Aby odzyskać stracony czas, dzielny student postanowił sobie za powrotem pracować do rana. Miał po raz pierwszy spędzić bezsenną noc w tej głuchej dzielnicy, widok bowiem splendorów świata natchnął go złudną energią. Nie jadł obiadu w domu, pensjonarze mogli tedy myśleć, że wróci z balu aż o świcie, jak wracał niekiedy z zabaw na Prado lub z redut¹⁶ w Odeonie, chlapiąc błotem jedwabne pończochy i wykręcając balowe trzewiki. Przed zaryglowaniem drzwi Krzysztof otworzył je, aby wyrzeć na ulicę. W tej chwili zjawił się Rastignac i mógł dotrzeć bez hałasu do swego pokoju, gdy Krzysztof czyniąc straszliwy łomot szedł za nim. Eugeniusz rozebrał się, włożył pantofle, wdział lichą surducinę, zapalił nędzny ogień z torfu i gotował się rześko do pracy, tak że Krzysztof pokrył jeszcze tupotem grubych trzewików niezbyt hałaśliwe przygotowania młodego człowieka.

Nim zagłębił się w kodeksie, Eugeniusz siedział kilka chwil w zadumie. Ujrzał w wicehrabinie de Beauséant jedną z władczyń mody, osobę, której dom słynął jako ozdoba Saint-Germain. Należała ona zresztą, przez swoje nazwisko i majątek, do szczytów arystokracji. Dzięki ciotce de Marcillac biedny student spotkał się z dobrym przyjęciem, nie oceniając całej rozciągłości tego faworu. Być dopuszczonym do tych złożonych salonów równało się dekretnemu karmazynowemu szlachectwu. Pokazując się w tym towarzystwie,

¹⁶ reduty – publiczne bale maskowe (franc.).

najwyłączniejszym ze wszystkich, zdobył prawo bywania wszędzie. Olśniony świetnym zebraniem, ledwie zamieniwszy kilka słów z wicehrabiną, Eugeniusz zadowolili się tym, że w ciżbie bogiń Paryża tłoczących się na tym raucie wyróżnił jedną, o typie stanowiącym zazwyczaj pierwszy ideał młodego chłopca.

Hrabina Anastazja de Restaud, słuszna i zręczna, uchodziła za jedną z najlepiej zbudowanych kobiet w Paryżu. Wyobraźcie sobie wielkie czarne oczy, wspaniałą rękę, szlachetnie zarysowaną nogę, ogień w każdym ruchu, kobietę, którą margrabia de Ronquerolles nazywał koniem pełnej krwi. Ta nerwowa organizacja nie odejmowała jej żadnego z uroków: kształty miała pełne i okrągłe, nie grzeszące równocześnie zbytnią obfitością. „Koń pełnej krwi, rasowa kobieta”, te wyrażenia zaczynały zastępować „anioły niebios”, osjaniczne przenośnie¹⁷, całą dawną mitologię miłosną, odtraconą przez dandyzm współczesny. Dla Rastignaca pani de Restaud była kresem pragnień. Zapewnił sobie dwie tury na liście tancerzy na wachlarzu i zdołał nawiązać rozmowę w czasie pierwszego kontredansa.

– Gdzie można panią widzieć? – spytał nagle z ową siłą namiętności, która się tak podoba kobietom.

– Ależ wszędzie – odparła – w Lasku, w teatrze, u mnie...

Już awanturniczy młodzieniec przyłgął do rozkosznej hrabiny o tyle, o ile młody człowiek może przyłgnąć do kobiety w ciągu walca i kontredansa. Mieniać się kuzynem pani de Beauséant, uzyskał zaproszenie od tej kobiety, którą wziął za wielką damę, i zdobył wstęp do jej domu. Z ostatniego uśmiechu, który mu rzuciła, Rastignac powziął najlepsze nadzieje. Miał to szczęście, że spotkał człowieka, który nie wyśmiał jego naiwności: naiwność bowiem była śmiertelną wadą w oczach znamienitych lwów epoki, jak Maulincourt, Ronquerolles, Maksym de Trailles, de Marsay, Ajuda-Pinto, obaj Vandenesse, całej tej gromadki, która królowała w chwale swych próżnostek kręcąc się w tłumie najwytworniejszych kobiet, a były to: lady Brandon, księżna de Langeais, hrabina de Kergarouët, pani de Sérizy, księżna de Carigliano, hrabina Ferraud, pani de Lanty, margrabina d'Espard, diuszessy de Maufrigneuse i de Grandlieu. Szczęściem tedy naiwny student trafił na margrabiego de Montriveau, rycerza księżnej de Langeais, generała prostego jak dziecko, który pouczył go, iż hrabina de Restaud mieszka przy ulicy du Helder. Być młodym, czuć żądzę świata, łaknąć kobiety i widzieć otwierające się bramy dwóch domów! Oprzeć stopę w Saint-Germain u wicehrabiny de Beauséant, kolano na Chausse d'Antin u hrabiny de Restaud! Zanurzyć wzrok w amfiladzie paryskich salonów i czuć się dość ładnym chłopcem, aby tam znaleźć pomoc i oparcie w sercu kobiety! Mieć dość ambicji, aby zuchwałą stopą wejść na rozpięty sznur, po którym trzeba kroczyć z zimną krwią linoskoczka, pewnego, że nie spadnie, i znaleźć w uroczej kobiecie najpewniejszy balans równowagi! Z takimi myślami i wobec kobiety, której cudne kształty jawiły się w mdłym blasku kominka, któż nie byłby, jak Eugeniusz, zgłębiał namiętną medytacją przyszłości, któż nie stroiłby jej w tryumfy? Rozkołysana jego myśl kosztowała tak żywo przyszłych słodocy, iż zdawało mu się, że pani de Restaud jest tuż przy nim, kiedy głośnie westchnienie zakłóciło ciszę nocną i rozległo się w sercu młodego człowieka niby rżenie konającego. Otworzył ostrożnie drzwi i znalazłszy się na korytarzu ujrzał smugę światła w progu ojca Goriot. Eugeniusz przeląkł się, że sąsiad może zasnął, przyłożył oko do dziurki od klucza i ujrzał starca zajętego dziwną pracą. Zajęcie owo tak bardzo trąciło zbrodnią, że student osądził, że odda przysługę społeczeństwu, śledząc uważnie nocne sprawki rzekomego handlarza mąki. Ojciec Goriot przymocował do listwy przewróconego stołu srebrny półmisek i ważkę, wziął sznur i okręcił go dokoła tych bogato

¹⁷ osjaniczne przenośnie – związane z poetyką „Pieśni Osjana”, słynnej preromantycznej mistyfikacji literackiej J. Macphersona, wzorowanej na dawnej poezji celtyckiej.

rzeźbionych przedmiotów, ściskając z taką siłą, jak gdyby chciał je zmienić w bryłę litego metalu.

– Do kroćset! Cóż to za człowiek! – rzekł Rastignac, widząc żyłaste ramię starca, który przy pomocy sznura miesił bez hałasu pozłacane srebro niby ciasto. – Byłżeby to złodziej albo paser, który aby tym bezpieczniej wykonywać swoje rzemiosło, udaje głupotę, niedołęstwo i żyje jak nędzarz? – mówił sobie Eugeniusz, prostując się na chwilę.

Student przyłożył na nowo oko do drzwi. Ojciec Goriot rozwinął sznur, wziął srebro, położył je na stole, rozciągnąwszy na nim kołdrę i zwinął ją, aby zaokrąglić bryłę, której to operacji dokonał nadzwyczaj łatwo.

– Byłżeby tak silny jak August, król polski? – rzekł do siebie Eugeniusz, skoro masa srebrna przybrała w przybliżeniu formę włka.

Ojciec Goriot spoglądał na swoje dzieło ze smutkiem, łzy zalśniły mu w oczach. Zdmuchnął lampkę, przy której blasku dokonał swej pracy; Eugeniusz usłyszał, jak się kładzie wzdychając ciężko.

...Oszałał – pomyślał student.

– Biedne dziecko! – rzekł głośno Goriot.

Słyszając te słowa Rastignac uznał za właściwsze milczeć o tym wypadku i nie potępiać nieodwołalnie sąsiada. Miał wracać do siebie, kiedy usłyszał nagle dość trudny do określenia szelest, który, zdawałoby się, czynili ludzie idący po schodach w filcowych pantoflach. Eugeniusz nadstawił ucha i usłyszał w istocie kolejny oddech dwóch ludzi. Nie słysząc ani skrzypnięcia drzwi, ani kroków, ujrzał nagle światelko na drugim piętrze u pana Vautrin.

Sporo tu tajemnic, jak na zwykły pensjonat – rzekł w duchu.

Zeszedł kilka schodów, wyteżył słuch, dźwięk złota doszedł do jego ucha. Niebawem światło zgasło, dwa oddechy dały się znowu słyszeć, mimo iż drzwi nie zaskrzypiały. Wreszcie, w miarę jak dwaj ludzie schodzili, szmer stawał się coraz cichszy.

– Kto tam? – krzyknęła pani Vauquer, otwierając okno.

– To ja wracam, mamusiu Vauquer – ozwał się gruby głos Vautrina.

– To szczególnie! Krzysztof zasunął rygle – rzekł do siebie Eugeniusz, wracając do pokoju.

– Trzeba nie spać po nocy, aby wiedzieć, co się dzieje dokoła człowieka w Paryżu.

Oderwany przez te drobne wydarzenia od swych ambitno-miłosnych medytacji, zabrał się do pracy. Niepokojony podejrzeniami, jakie go nachodziły co do ojca Goriot, bardziej jeszcze niepokojony fizjonomią pani de Restaud, która raz po raz jawiła się przed nim niby posłanniczka świetnego losu, położył się w końcu i usnął twardo. Na dziesięć nocy, które młodzi ludzie obiecują sobie spędzić przy pracy, siedem zagarnia sen. Trzeba mieć więcej niż dwadzieścia lat, aby umieć czuwać.

Nazajutrz rano panowała w Paryżu owa gęsta mgła, która spowija go tak szczelnie, iż najpункtualniejsi ludzie, myląc się co do czasu, spóźniają się na ważne spotkania; każdy myśli, że to dopiero ósma, kiedy bije południe. Było wpół do dziesiątej, a pani Vauquer jeszcze nie ruszyła się z łóżka. Krzysztof i gruba Sylwia, również zapóźnieni, pili spokojnie kawę okraszoną śmietanką zebraną z przeznaczonego dla pensjonarzy mleka, które Sylwia długo gotowała, aby pani Vauquer nie poznała się na tej bezprawnej dziesięcinie.

– Wiesz, Sylwio – rzekł Krzysztof maczając bułeczkę – pan Vautrin, który z tym wszystkim jest dobry człowiek, znowu wpuścił dziś w noc dwie osoby. Gdyby pani pytała o co, nie trzeba nic mówić.

– Czy ci co dał?

– Dał mi miesięcznie pięć franków, niby tak jakby mówił: „Siedź cicho”.

– Żeby nie on i nie pani Couture, która też nie trzęsie się nad groszem, inni chcieliby odebrać lewą ręką to, co nam dają prawą na kolebę – rzekła Sylwia.

– A jeszcze ile dają? – rzekł Krzysztof. – Ot, nędznych pięć franków. Taki ojciec Goriot od dwóch lat sam sobie buty czyści. Kutwa Poiret całkiem się obchodzi bez czernidła, wolałby je

wypić niż zużyć na buty. A ten cacuś studencik daje mi czterdzieści su! Czterdzieści su nie starczy nawet na szczotki, a do tego jeszcze sprzedaje stare ubrania. Cóż za buda!

– Ba! – rzekła Sylwia popijając wolnymi łykami kawę. – I tak nasze miejsca są najlepsze w dzielnicy: przynajmniej żyje się dobrze! Powiedz mi, Krzysztofie, nie pytał kto o naszego dziadzię Vautrin?

– Owszem. Spotkałem przed kilku dniami jakiegoś pana, który rzekł: „Czy to u was mieszka gruby jegomość, który maluje faworyty?” A ja jemu: „Nie, panie, nie maluje. Taki wesoły człowiek jak on nie miałby na to czasu”. Powiedziałem to panu Vautrin, który rzekł: „Dobrześ zrobił, mój synu. Odpowiadaj zawsze w ten sposób. Nie ma przykrzejszej rzeczy niż zdradzać swoje ułomności. Człowiekowi to szkodzi do żeniaczki”.

– Bo to i mnie na targu również ciągnęli za język, niby czy widziałam kiedy, jak wdziewa koszulę. Także coś... Ot – wtrąciła – już trzy kwadransy na dziesiątą bije na Val-de-Grâce, a nikt się nie rusza.

– Ba! Wszyscy wyszli. Pani Couture i jej młódka poszły jeszcze o ósmej komunikować się u Świętego Szczepana. Ojciec Goriot powędrował z jakąś paczką. Student wróci aż po kursach, o dziesiątej. Widziałem, jak wychodził, kiedyś sprzątał schody; jeszcze ojciec Goriot dał mi tęgiego kuksa tym, co niósł pod pachą: twarde było jak żelazo! Co on robi właściwie, ten stary? Wszyscy poniewierają nim jak tym pomiotłem, ale niech gadają, co chcą, to zacny człowiek, więcej wart od nich wszystkich. On sam niewiele tam wyrzuci; ale te damy, do których posyła mnie czasem, sypią tęgie napiwki: zgrabne dziewczuszki i wystrojone jak się patrzy.

– Te, co niby powiada, że to córki? Jest tego cały tuzin.

– Ja zawsze chodziłem tylko do dwóch, tych samych, co tu łążyły.

– Oho! Pani się rusza, zacznie swoje piekło; trzeba mi lecieć do niej. Pilnuj mleka, Krzysztofie, skroś kota.

Sylwia pognęła do pani.

– Jak to! Sylwio, już trzy na dziesiątą, a ty mi dajesz spać... Nigdy nie zdarzyło mi się coś podobnego.

– To ta bestyjska mgła, można by ją nożem krajać.

– Ale śniadanie?...

– Et! Wszystkich stołowników jakiś giez ukąsił; pognali na cztery wiatry. Jedna Miszonetka i stary Poirot nie ruszyli się z domu, śpią jak susły.

– Ależ, Sylwio, ty ich łączysz razem, jak gdyby...

– Co, gdyby? – odparła Sylwia, parszając głupawym śmiechem. – Dwa do kupy, to niby para.

– To szczególne, Sylwio: w jaki sposób pan Vautrin wrócił dziś w nocy, skoro już przedtem Krzysztof zaryglował bramę?

– Przeciwnie, proszę pani. Usłyszał pana Vautrin i zeszedł mu otworzyć. Stąd pani myślała...

– Podaj mi kaftanik i zejdz prędko zająrzeć na śniadanie. Przyrządź resztę baraniny z ziemniakami i daj gruszki pieczone, z tych po dwa grosze sztuka.

Niebawem pani Vauquer zeszła na dół, w chwili gdy kot strącił łapą spodek stanowiący przykrywkę garneczka z mlekiem i chlpał co wlezie.

– Mistigris! – krzyknęła.

Kot uciekł, potem wrócił, ocierając się o jej nogi.

– Tak, tak, udawaj baranka, stare ladaco! – rzekła. – Sylwio! Sylwio!

– A co, proszę pani?

– Popatrz, ile ten kot wychleptał.

– To przez bałwana Krzysztofa: mówiłam, żeby przykrył mleko. Gdzie on poszedł? Niech

się pani nie martwi, damy to ojcu Goriot. Dopelnię wodą, nie spostrzeże się. Nie zwraca uwagi na nic, nawet na to, co je.

– Gdzież on poszedł, ten stary Chińczyk? – rzekła pani Vauquer, rozstawiając talerze.

– A kto go wie! Czart tam przejrzy jego diabelskie konszachty.

– Za długo spałam – rzekła pani Vauquer.

– Ale też pani świeża jak różyczka...

W tej chwili dał się słyszeć dzwonek i Vautrin wszedł do salonu, śpiewając grubym głosem:

Długom wędrował po tym świecie,

Zdeptałem go i wszerz, i wzdłuż...

– Ho, ho! Dzień dobry, mamu Vauquer – rzekł spostrzegając gospodynię, którą objął dwornie wpół.

– Dajże pan spokój...

– Powiedz pani: „Zuchwalcze!” – odparł. – No, niechże pani powie. Usłyszę wreszcie? Czekaj paniusiu, pomogę pani nakrywać. He? Grzeczny chłopczyk ze mnie?

Niejednom słodkie tulił dziecię,

Całował pączki...

Widziałem przed chwilą coś osobliwego...

...krasnych róż.

– Co takiego? – rzekła wdowa.

– Ojciec Goriot był o wpół do dziewiątej na ulicy Dauphine u złotnika, który kupuje stare srebro i galony. Sprzedał mu za ładną sumę srebrny serwis, wcale grzecznie ugnieciony jak na kogoś, kto nie należy do cechu.

– Doprawdy?

– Tak. Szedłem tutaj odprowadziwszy jednego z przyjaciół, który odjeżdża za morze, zachełmiałem na ojca Goriot, ot tak, z ciekawości, dla zabawy. Wrócił w te strony, na ulicę Kamienną, gdzie wszedł do znanego lichwiarza nazwiskiem Gobseck, skończony szelm, gotowej zrobić domino z kości własnego ojca; to istny Żyd, Arab, Grek, Cygan, człowiek, którego nie sposób byłoby podebrać: odnosi talary do banku.

– Co on to właściwie robi, ten ojciec Goriot?

– Nic nie robi! – rzekł Vautrin. – Traci, rujnuje się na dziewczęta, które...

– Idzie! – rzekła Sylwia.

– Krzysztofie! – zawołał ojciec Goriot. – Chodź za mną.

Krzysztof udał się za ojcem Goriot i niebawem wrócił.

– Gdzie idziesz? – rzekła pani Vauquer do służącego.

– Z posyłką dla pana Goriot.

– Cóż to takiego? – rzekł Vautrin, wydzierając Krzysztofowi list, na którym przeczytał: „Do hrabiny Anastazji de Restaud”. – I masz z tym iść dokąd?... – dorzucił oddając list Krzysztofowi.

– Na ulicę du Helder. Mam rozkaz oddać jedynie do rąk pani hrabiny.

– Co tam może być w środku? – rzekł Vautrin biorąc list pod światło. Bilet bankowy? Nie.

– Uchylił kopertę. – Wykupiony weksel! – wykrzyknął. – Psiakość! to mi rycerz z tego starego piernika. Idź, serdeńko – rzekł, kładąc szeroką dłoń na głowie Krzysztofa, którego obrócił w miejscu jak frygę – czeka cię dobry napiwek.